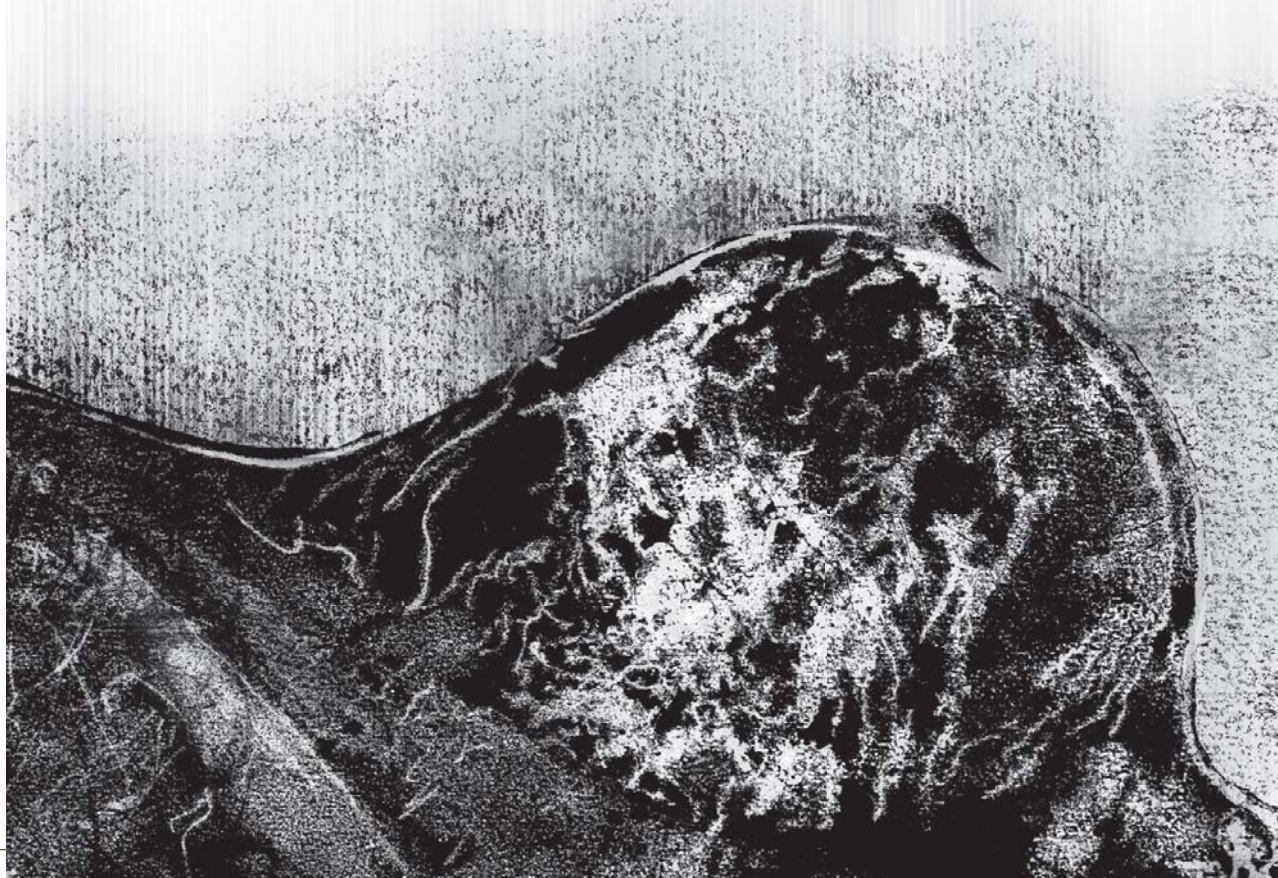


ZACZAROWAĆ  
**MIASTO,**  
ODCZAROWAĆ  
**MIASTO**

Lucyna Marzec



Osobę, która bada  
związki Poznania i kobiet,  
mogą przerazić komentarze  
i obserwacje literatek  
dotyczące atmosfery  
i mieszkańców miasta.

Z pozdrowieniami dla koleżanek z Krakowskiego Szlaku Kobiet, Sylwii Chutnik, przewodniczki i autorki Warszawy Kobiet, koleżanek-organizatorek akcji My, kobiety z Muranowa i Warkocze M., kaliskiego stowarzyszenia Żywa i ich „Równych babek”, gdańskich kobiet Wrzeszcza, Agaty Morgan, redaktorki Ich śladów. Kobiet Radomia, oraz dla wszystkich osób, które zajmują się historią miast. Oraz z podziękowaniami dla Pracowni Krytyki Feministycznej IFP UAM, Fundacji Babiląd, ekipy O czym szumią więdźmy oraz Joanny Erbel, kuratorki Nowych Sytuacji w ramach Malta Festival 2011.

### Przygotowania z „Kroniką Miasta Poznania” w rękę

Okładka pierwszego numeru „Kroniki Miasta Poznania” z 2011 roku, zatytułowanego Poznanianki, jest kolażem Anny Wybierały, absolwentki tutejszego Uniwersytetu Artystycznego. Na fotografię bruku – który widzimy z perspektywy przechodnia (w rodzaju męskim – a może i żeńskim?) spoglądającego raczej pod nogi

niż przed siebie – został nałożony raster kobiecych łydek i wysokich, czarnych szpilek. Nogi kobiety są skierowane w prawą stronę, lewa bardzo lekko dotyka bruku, a zarazem nosek buta zbliża się do „ramy” okładki, druga noga jest delikatnie podniesiona: kobieta zaraz zrobi krok do przodu. Wyjdzie z kadru, zanim zdążymy podnieść oczy w górę, by zobaczyć całą jej sylwetkę, będzie już odwrócona do nas tyłem, umknie taksującemu spojrzeniu, a przynajmniej nie spotka się z nim. Kobieta porusza się zapewne szybko, w przeciwnym razie łatwiej byłoby uchwycić jej postać.

Obraz jest dynamiczny: zatrzymana chwila – raz przeminie, kobieta pójdzie własną drogą. Sunąca po zabytkowym bruku (w okolicach Starego Rynku? Jeźyc? Wildy?) na wysokich obcasach, pozostanie migawką szczupłych łydek, seksownych szpilek i stukania obcasów.

Wszystkie poznańskie rynki pamiętają metaliczny dotyk podków i ciężar załadowanych po brzegi wozów, a jednak gdy pomyślę o kocich łbach, widzę przede wszystkim Stary Rynek i prowadzące doń uliczki. W Starym Rynku rozpoczęły się dwa spacer: pierwszy, przekornie nazwany Antyjeżycjadą, i drugi. Obydwie przechadzki rozpoczynała Agnieszka Gajewska opowieścią o Marii Wicherkiewiczowej, która jest symboliczną matką wszystkich zajmujących się historią miasta. Była pierwszą osobą zafascynowaną nie tyle Poznaniem jako takim, ile historią jego mieszkańców, budynków i instytucji, między innymi pałacem Górków i jego reformatorskimi mieszkańcami z czasów Zygmunta Augusta czy klasztorem Dominikanek (katarzynek poznańskich), którym napisała pierwszą historię dziejów. Wicherkiewiczowa, nazywana poznańską Virginią Woolf, miała świadomość, że pozycja kobiety w społeczeństwie jest historycznie zmienna, uzależniona od wielu czynników, i potrafiła w ironiczny sposób skomentować ten +

stan rzeczy. Wspominając postać swojej babki, Matyldy Ziioleckiej, ziemianki, społeczniczki i hodowczynie jedwabników, ubolewała, że nie dane było jej żyć w bardziej postępowych czasach, które pozwoliłyby w pełni rozwinąć wszystkie jej zainteresowania i talenty. Sama potrafiła połączyć w swoim życiu zadania żony i matki oraz pasjonatki-historyczki i pisarki. W miejskim archiwum, nieuporządkowanym i zaniedbanym, spędzała dziennie wiele godzin, by udokumentować swoje – czasem dość odważne – tezy i pomysły interpretacyjne. Autorka Łodzi w purpurze i Patrycjatu poznańskiego mieszkała na Świętym Marcinie, do archiwum miała niedaleko, jej największą pasją był renesansowy Stary Rynek i jego okolice.

Praca Anny Wybierały, której inne, nieużytkowe projekty zazwyczaj dotyczą kobiet, stanowi niezwykle przekorny, może nawet ironiczny komentarz na temat usytuowania kobiety w mieście, uszczegółowiając: w Poznaniu (cały numer KMP dotyczy przecież poznanianek). Przemierzając, zwłaszcza w szybkim tempie, wybrukowany plac czy ulicę na szpilkach, łatwo zwichnąć kostkę, połamać obcasy i nogi. Kocie łby są nieprzystosowane do przyjęcia wysokich i cienkich obcasów, które najwygodniej czują się na wybiegu dla modelek, kiedy noszą je profesjonalistki. Jednocześnie szpilki są, co najmniej od drugiej połowy XX wieku, uznawane za najbardziej kobiecy i seksowny typ butów, stanowią, obok czerwonej szminki, łatwo rozpoznawalny kobiecy artefakt. Wysokie obcasy mają moc przyciągania wzroku – są znakiem szczególnej troski o urodę (wydłużają nogi, wyszczuplają sylwetkę) i nastawienia na „podobanie się”. Sporo można posłuchać czy poczytać o trudach edukacji chodzenia na szpilkach, bolących nogach i kręgosłupie po całym dniu spędzonym na wysokich obcasach bądź – w feministycznych interpretacjach – o niebezpiecznym przyzwoleniu na nieporadność

i uległość kobiety zakładającej szpilki. Potykająca się o kocie łby na Starym Rynku kobieta potrzebuje pomocy kogoś, kto stawia kroki stabilnie; w szpilkach trudno jest uciec (przed kimkolwiek chciałoby się uciekać) także ze względu na ich niewygodę oraz głośny stukot. Szpilki są jednym z emblematycznych narzędzi „tyranii piękna”: aby się podobać, kobieta godzi się na niekomfortowe warunki, które na dodatek osłabiają jej fizyczną i symboliczną pozycję. Kinga Dunin, rozpoczynając współpracę z „kobiecy” dodatkiem do „Gazety Wyborczej”, pytała: „Czego chcecie ode mnie, Wysokie Obcasy?”, a serii felietonów patronowały znacznie wygodniejsze i unisex tenisówki.

## Ratusz z okien pewnej kamienicy. Rzut oka na Bazar

Na spacerzy o poznaniankach lepiej się nie wybierać w butach na obcasach. Pierwsza wycieczka, głównie przesiedziana w kawiarniach ze względu na złą pogodę, trwała osiem godzin (w samej pracowni Kazimierzy Iłakowiczówny spędziliśmy prawie trzy godziny, słuchając opowieści Elżbiety Andrzejewskiej o Ille). Kolejne spacerzy trwały znacznie krócej, mniej więcej dwie, trzy godziny. Historyczna przejażdżka tramwajowa (mieliśmy jechać za bytkową „Księżniczką”, ale się popsowała, dzięki czemu w większym tramwaju pomieściło się niemal 200 osób) musiała zostać przedłużona: tramwaj jechał za szybko w porównaniu do czasu naszych opowieści. Bywalcami spacerów są nie tylko ludzcy aktorzy: można wziąć ze sobą wózek (niekoniecznie dziecięcy), psa czy rower, jak to się już kilkakrotnie zdarzało. Na akcji maltańskiej miałyśmy ze sobą składowane krzeselka, które przydały się wszystkim (nie tylko seniorom i kobietom w ciąży), którzy chcieli na siedząco przysłuchiwać się opowieściom o „Bamberkach, feministkach i Innych”.

Jesteśmy cały czas w okolicach Starego Rynku i jego wybrukowanych uliczek. W pierwszej połowie XIX wieku na ratusz z okien drugiego piętra nieistniejącej już kamienicy spoglądała Julia Molińska-Woykowska, o której zachowało się do dziś mnóstwo plotek, ale nie znamy żadnego jej wizerunku. Ponoć nosiła konfederatkę, paliła cygara niczym George Sand, a w salonie, w którym gościły osoby związane z myślą demokratyczną i postępową oraz „Tygodnikiem Literackim”, siadywała na podłodze po turecku i – co w oczach konserwatywnego mieszczaństwa poznańskiego, ucieleśnionego jako Marceli Motty, wydawało się najdobitniejszym dowodem jej moralnego zepsucia – ze swoim partnerem, Antonim Woykowskim, żyła „na wiarę”, bez kościelnego błogosławieństwa. Molińska najprawdopodobniej ostentacyjnie nie dbała o urodę w takim sensie, w jakim oczekiwano tego po kobiecie, która jest synową właściciela winiarni w samym sercu miasta; ponoć chodziła ubrana skromnie, miała włosy krótko obcięte, była obojętna na paryskie mody i kosmetyki. Zaświadczenia o ślubie z Woykowskim nie pokazała celowo, nawet gdy wezwana została do tego przez władze.

Żyła wiarą w wartości duchowe: miłość, równość, sprawiedliwość społeczną, emancypację oraz literaturę, poświęcając się całkowicie pracy w „Tygodniku Literackim” (oficjalnie redaktorem naczelnym był Antoni, ale to Julia prowadziła wszystkie sprawy pisma), aktywności publicystycznej, polemicznej oraz literackiej. Twarda materia życia dosięgła jej jednak wielokrotnie: konserwatywni mieszczaństwo pewnego dnia obrzucili Woykowskich wjeżdżających na Rynek kamieniami, i gdyby parze ktoś litościwy nie otworzył bramy, zostaliby ukamienowani. Niejednokrotnie grożono im podpaleniem kamienicy, którą w końcu stracili z innych powodów: bankru-

tując przez „Tygodnik Literacki” (to jedyne pismo polskojęzyczne, które w owym czasie wypłacało honoraria autorskie). Julia mieszkała więc w dzielnicy najbogszej i naj biedniejszej. Para na krótko trafiła do lepianki na Rybakach, potem wróciła na rynek, by w końcu przeprowadzić się na Młyńską, gdzie miała rozpocząć nowy etap życia, prowadząc własne wydawnictwo. Nic z tego nie wyszło.

Odmowa uczestnictwa w społecznie usankcjonowanych normach, zwyczajach i obyczajach jest zawsze decyzją emancypacyjną i niebezpieczną zarazem: gdyby Woykowsy wzięli ślub w farze, któremu świadkowałoby poznańskie mieszczaństwo, a zamiast wydawać „Tygodnik Literacki”, finansowali pismo wydawane przez środowisko konserwatywne, nikt nie podniósłby na nich ręki i na pewno nie dano by im mieszkać w lepiance na Rybakach. Strój i uczesanie Julii też byłyby inne, ponieważ w ubraniu i wyglądzie zewnętrznym odbija się nasz stosunek do norm społecznych.

Ale to nie historia Woykowskiej jest najbardziej charakterystyczną opowieścią o związkach płci i ubioru w Poznaniu. Właśnie ze słynnym Bazarem związana jest legenda (z którą np. Izabela Filipiak stanowczo polemizuje) o podjęciu przez Marię Komornicką ostatecznej decyzji, by raz na zawsze zdjąć i spalić kobiece suknie oraz zamienić je na męski strój, odpowiadający nowej tożsamości i kulturowej płci. Czerwcową dobą 1907 roku, jedyną, jakiej Komornicka/Piotr Odmieniec Włost gościł(a) wraz z matką w drodze do Kołobrzegu w Poznaniu, definitywnie zmieniła drogę życia poetki w tym sensie, że zamiast do nadmorskiego sanatorium Odmieniec trafia do zakładu dla umysłowo chorych w Obornikach i odtąd już nie odzyskuje „zdrowia”. Poznań staje się jej/jego miejscem kaźni: „Dźwięczny bruk pomnę, przydługi parkan, na nim litery / Olbrzymie: Szlachtuż +

[...] / Place banalne, schludny trotuar i porządne gmachy, / Świadczące, że Berlin, choć niedokładnie, jest im znany”).

Osobę, która bada związki Poznania i kobiet, mogą przerazić komentarze i obserwacje literatek dotyczące atmosfery i mieszkańców miasta. Ze Starego Rynku blisko do Bazaru (o którym nawet Wicherkiewiczowa, kochająca to miasto, pisała ironicznie, że rozprawiają w nim o sprawach państwowej wagi panowie, ale przy kartach i cygarze), a dalej, w górę, na ulicę 27 Grudnia. Woykowska nie utożsamiała się z otaczającymi ją mieszczanami, Komornicka/Włost pamiętała Poznań jako miejsce symbolicznego mord. Ale na Poznań narzekła Gabriela Zapolska, że zniemczony i rozbity, kiedy po dwóch sezonach (1885–1887) przestała grać w Teatrze Polskim i napisała reportaż Jeden dzień w Poznaniu (kartka z dziennika podróżnika), a Maria Jehanne Wielopolska, że antysemicki i skrajnie konserwatywny, kiedy jej sztuka Nuwopowry (nowobiedaccy) została wygwizdana przez „młodzież endeczką” i zdjęta z afisza tego samego teatru już po dwóch dniach (1926). Jeden dzień w Poznaniu Zapolskiej to typowy paszkwil, co ciekawe, pisany pod pseudonimem i z perspektywy reportażysty odzianego w męski strój, zwiedzającego miasto nocą.

### W stronę placu Wiosny Ludów drogą okrężną. Kamienice, których już nie ma

Przekora w wizji Anny Wybierały ukrywa się w technice pracy: nogi (wraz ze szpilkami) wyglądają jak wycięte z reklamy czy lifestylowego magazynu i doklejone są do fotografii wybrukowanej, pustej ulicy. Efekt ten wzmacnia

niejednorodność materiału, bruk jest realistyczny, nogi zaś pochodzą z innego porządku, który tylko podkreśla raster: komiksu, popartu, a przede wszystkim z użytkowej poligrafii, czyli właśnie reklamy, baneru, ulotki. Artystka w ten sposób uchwyciła pewną znamioną sprzeczność: na wysokich obcasach nie można wcale zejść daleko, ale bez wysokich obcasów traci się emblematyczną, wpisaną w stereotypowe przekazy kultury popularnej i reklam kobiecość. Dlatego właśnie postać sfragmentaryzowanej kobiety jest „przeklejona”, nieprzystająca do realiów poznańskich kocich łbów.

W tym sensie okładka KMP zadziałała: notkę czy recenzję z numeru zatytułowano gdzieś Poznańskie dziewczęta, odwołując się do znanego utworu Pidżamy Porno (z płyty Złodziej zapalniczek, 1997), którego oniryczna atmosfera łączy pożądanie i koszmar odrzucenia: „Coś co zwykle pragniesz zbliżyć do ust / Raz zdaje się być bliskie / A raz dalekie”. Na okładce KMP postać jest jedna, tutaj podwojona – „idą ona i ona” – niczym siła popędu, skierowana zresztą do dziewcząt dość młodych, skoro im „fruwają warkoczyki” niczym pensjonarkom. Można tylko podpatrywać, jak zbliżają się i oddalają, nieprzystępne i obojętne na wszelkie formy adoracji: „One nie chcą byś je w pocałunkach utopił / Byś się za nie strzelał / Byś stawał na rękach”. Nie podejrwie się poznańskich dziewcząt na Don Juana, Wertera czy Kmicica, bo ich podwojenie jest też pewną siłą, wobec której staje się niepotrzebnym naddatkiem.

O miłości/pożądaniu w Poznaniu niewiele wyczytamy u literatek związanych z miastem. Sporo poezji miłosnej wydała Wanda Wasik, związana wrażliwością językową i biografią z Iłwą, oraz Łucja Danielewska, ale ich poezja nie mówi o uczuciu ulokowanym w konkret-

nym miejscu. Poemat prozą *Żona księżycowa* Julii Woykowskiej, pisany po śmierci Antoniego, powstał w mistycznej fazie twórczości pisarki. Bardziej interesująca jest kwestia owej podwójności, koalicji kobiet i budowania towarzystw czy klubów, w których nie jest najważniejsza miłość („skazana” w naszej kulturze na parzystość), ale wspólne zainteresowania, praca czy edukacja. Znajdujemy w Poznaniu kilka interesujących par kobiecych.

Oto siostry Teofila i Teresa Radońskie, pochodzące ze średnio zamożnej wielkopolskiej rodziny szlacheckiej, prowadziły wspólnie pensję dla dziewcząt i zajmowały się pracą artystyczną, archiwistyczną i publicystyczną. To właśnie one, na zmianę, w latach 1880–1885 redagowały „Dwutygodnik dla Kobiet” (później: „Tygodnik Beletrystyczny i Naukowy”) oraz „Dom Polski”, pismo aktywizujące wielkopolskie ziemianki do pracy społecznej, oświatowej i patriotycznej. Pismo unikało mówienia wprost o ideach emancypacyjnych, chociaż nie dystansowało się wobec postępowych ruchów Wielkopolanek. Z jednej strony, to tutaj ukazywały się dość zachowawcze teksty literackie i popularyzatorskie autorstwa Emmy Puffke z Kurowskich (w cyklu artykułów *Wieczorne pogadanki starej babuni*), z drugiej – Teofila Radońska rzetelnie opracowała dla towarzystwa „Warta” biografię Pauliny i Augusta Wilkońskich, pary całkiem postępowej.

Towarzystwo „Warta”, kierowane przez wiele lat przez Anielę Tułodziecką, to wielki, osobny temat, o którym na spacerach z pasją opowiada Katarzyna Granops. Był to związek kilkudziesięciu kobiet, które jako pierwsze na poznańskiej ziemi stworzyły samowystarczalną organizację bez męskiego (choćby tytularnego) zwierzchnictwa, zajmującą się edukacją (w patriotycznym duchu) najmłodszych, ale także samych kobiet. To właśnie „Warta” zor-

ganizowała (18 marca 1899) pierwszy wiec kobiet wielkopolskich, mający emancypacyjne, antygermanizacyjne i równościowe cele. Anielę Tułodziecką ściśle działała ze swoją siostrą, Zofią, która założyła pierwszy samodzielny związek pracujących kobiet na ziemiach Wielkopolski – Stowarzyszenie Personelu Żeńskiego w Handlu i Przemysle, mające na celu dbanie o interesy pracujących kobiet. Z „Wartą” związana była organicznie jeszcze jedna instytucja: Czytelnia dla kobiet, która łączyła elementy biblioteki/czytelni z akademią, wieczornymi kursami dokształcającymi oraz salonem literacko-towarzyskim, a mieściła się w dziś już nieistniejącej kamienicy przy Szymbańskiego 8. Zaraz obok stała kamienica, w której pilnie uczyły się pensjonariuszki Wyższej Szkoły Żeńskiej Anastazji Warnke (ukończyła ją Wicherkiewiczowa!). Obecny plac Wiosny Ludów pamięta wiele kobiecych przyjaźni.

Listopadowy spacer po Poznaniu kobiet dotyczył właśnie studentek, uczennic i pensjonarek oraz ich wychowawczyń i opiekunek: o Czytelni dla kobiet opowiadała Adrianna Sołtysiak, o uczennicach z pensji Warnke – Dominika Dombrowska. Czasem przyjaźnie dziewcząt, zawierane w szkolnych latach, przechodziły na kolejne pokolenie. I tak na przykład Jadwiga Żylińska, pisarka, córka Haliny Michalskiej z domu Adamskiej, która kształciła się w słynnej pensji panien Danysz, przyjaźniła się z synami koleżanki z ławki Haliny, Muchy Radziwińskiej – Stanisławem i Tadeuszem Korzybskimi. Największą przyjaciółką Żylińskiej (która zresztą studiowała w Poznaniu anglistykę) była jej siostra, Malina Michalska, pierwsza licencjonowana hatha-joginka w Polsce. Siostry o mało co odziedziczyłyby kamienicę przy Starym Rynku należącą do ich dalekiego krewniaka, zwanego Scrooge’em, który prowadził antykwariat i (to czysty przypadek!) +

tajemnie kolekcjonował damskie pantofelki... Żylińska była do końca życia przekonana, że jedynym niezawodnym uczuciem w życiu człowieka jest miłość siostrzana.

Kiedy „idą ona i ona”, to nie to samo, gdyby szła „ona jedna”. Współczesną piosenkę Pidżamy Porno kończy asekuracyjne – bądź autoironiczne – stwierdzenie: „Tyle ich co koszmarnych snów / Jedną spoconą nocą”. Poznańskie dziewczęta to mara, nawiedzające wyobrażnię zwielokrotnione postaci, wywołane z mikstury wody święconej, ciężkich narkotyków oraz pożądania uchodzącego w rytmicznych westchnieniach: „Teraz wiem, dlaczego mocniej zaciskam szal na białej szyi”. Ale czy swojej, skoro „ciemne są windy w obumarłych osiedlach”? Biała szyja to znak kobiecy (szyja łabędzia), nie męski. W pożądanie poznańskich dziewcząt jest wpisane pragnienie ich anihilacji – dlatego tekst Grabaża staje się nie dopowiedzeniem czy komentarzem do mojej interpretacji pracy Anny Wybierały, ale świadectwem (oczywiście wpisanym w tekściarską grę i w tym sensie ironicznym, chociaż nie jestem przekonana, w co owa ironia miałaby godzić): miasto jest przestrzenią dla kobiet niebezpieczną.

## Pożegnanie z wełnianą kołderką

Okładka KMP poświęconej poznaniankom otwiera możliwość przedstawienia rozbudowanej narracji o problemach płci w mieście, o wykluczeniu i „wkluczeniu” poprzez architekturę i historyczną materię miasta, o reprezentacji – rzeczywistej i symbolicznej – poszczególnych klas społecznych, wieku, płci, seksualności, rasy, etniczności, religijności czy stopnia fizycznej sprawności w mieście. Nie ignorowałabym wymiaru „esencjalnego” tej problematyki, odwołującego się do realnego, namacalnego

charakteru miejskiej architektury: być może sztywny podział na męskie/kobiece jest uproszczony i niewystarczający, ale bywa, że pomaga zrozumieć pewne działania. Na przykład „bezkarny akt wandalizmu”, jakim było spalenie pracy zaproszonej na ubiegłoroczny festiwal No Women No Art artystki Agaty Oleśiak, jest nie tylko znakiem braku szacunku dla sztuki czy głupiej zabawy, ale także działaniem mizoginicznym na poziomie symbolicznym. Marych był okryty przez artystkę różowo-fioletową szydełkową otuliną. Dziewczęce, słodkie kolory i tradycyjna, zaliczana raczej do użytkowej niż artystycznej formy, sztuka „domowych robótek”, jeszcze przez Simone de Beauvoir uważane były za sposób wypełniania czasu zamkniętej w czterech ścianach mieszczki, ale teraz, po przemyśleniu – i ciągłej aktualizacji hasła, że prywatne jest polityczne – mają znaczenie wywrotowe. Wejście w przestrzeń Poznania – miasta z obciążającą historią pruskiej prowincji, zbalansowaną pamięcią o chlubnej przeszłości społeczników, działaczy i lekarzy – kobiet z włóczkami, zmiękczającymi ostre rysy małej architektury, ogrzewającymi zimny mosiądz czy blachę pomników, wywołało agresję w tych, którzy oczekują od kobiecości szpilek, nie szydełek.

A przecież wybór delikatnego i nietrwałego materiału, jakim jest włóczka, dowodził, że artystka nie rościła sobie pretensji do manipulacji świadomością historyczną. Wizja wymiany poznańskich miejsc pamięci była obca artystce. Okrycie Marycha (i innych obiektów w Poznaniu, na przykład starego samochodu) kolorową, nieodporną na warunki atmosferyczne kołderką to wręcz manifest przeciwko następującym w wypadku każdej wojny, rewolucji religijnej, politycznej czy klasowej: wymianie pomników, burzeniu (często ostentacyjnemu) starych i montowaniu w ich miejsce nowych. Wyrażającej się w takich

działaniach potędze władzy przeciwstawia Agata Olesiak inną filozofię, daleką myśleniu w kategoriach wygranych i przegranych: efemeryczne formy „nakładania” znaków kobiecości na „męskie” artefakty czy symbole nie roszczą sobie pretensji do zastąpienia tych pierwszych, nie poniżają ich – otulenie ma wymiar matczynej/babcinej opieki i troski, nie punkrockowych inwektyw. Jednak praca Agaty Olesiak, zamiast uwidocznić i sprobematyzować kwestię przemijalności i tymczasowości tradycyjnej kobiecej pracy oraz możliwej koalicji i współegzystencji, choćby czasowej, w przestrzeni miejskiej tego, co kobiece i męskie, stała się przykładem na niechęć do sztuki kobiet, a szerzej – na twarde i agresywne weto wobec prób reprezentacji kobiecości w miejskiej przestrzeni.

Wizja artystki jest mi niezwykle bliska, podzielałam przekonanie o efemeryczności czy nomadyczności kobiecego podmiotu, który z wielu względów nie zakorzenia się w miejskiej tkance w taki sam sposób, jak podmiot męski. Dlatego placu Wiosny Ludów, którego jeden bok wyznacza linia między pomnikiem Karola Marcinkowskiego a Starym Marychem, nie przemianowywałabym, nawet tymczasowo, na jakiś profeministyczny odpowiednik, chociaż to miejsce dla historii Poznania szczególnie. Właśnie wyburzone budynki: kościół ewangelicki, miejsce, gdzie Katarzyna Kończal rozpoczyna opowieść o diakonisie Johannie Bade, kamienica, w której mieściła się Czytelnia dla kobiet oraz pensja Warnke, mówią więcej o historii tych miejsc niż tablice pamiątkowe czy pomniki, które wtapiając się w tkanekę miasta, stają się po jakimś czasie niezauważalne, przezroczyste, aż powoli tracą swoje znaczenie. Podobnie wizerunek szpilek na historycznym bruku przynosi znacznie bardziej rozbudowaną refleksję nad kondycją płci w mieście. Nie jestem przeko-

nana, czy właściwym pomysłem jest powstanie zinstytucjonalizowanej jednostki, jaką mogłoby być Muzeum Kobiet (takie projekty rozpatruje się obecnie w Krakowie i Szczecinie). Aby muzeum odpowiadało palimpsestowej i labiryntowej przestrzeni miasta, musiałyby być jego synekdochą, ale nawet wtedy odebrałoby korzyści, jakie czerpie się z kluczenia po ulicach, archiwach, targach staroci czy cyfrowych bibliotekach, z wymyślania coraz to kolejnych tras i zmiany perspektyw opowieści o Poznaniu.

Nasze trasy i narracje o przeszłości są przecież tymczasowe, zmienne, otwarte na przyszłe odczytania, otwarte na poprawki i dopiski. Ich tymczasowość i ulotność podkreśla mówiona forma. Poniekąd prawie wszystko, co opowiadamy o mieście w trakcie spacerów, można samodzielnie, w samotności, przestudiować, korzystając z platformy internetowej, którą administrujemy, czy też podejmując samodzielną kwerendę. A jednak – oral history ma swoją moc, której nie da się podważyć. Spacer po Poznaniu z przewodniczkami i przewodnikami ma inny smak, głębiej zapada w pamięć. Jest przecież formą interakcji i budowania pewnej mikrospołeczności, którą łączy wspólne zainteresowanie mikrohistoriami. Prace w archiwum Zuzanny Kołupajło sprawiły, że matronuje nam Bibiana Moraczewska – dom, w którym mieszkała, kamienica między współczesnym Okrągłakiem a Teatrem Polskim, został wyburzony. Nawet jeśli pozostaniemy przy placu Wiosny Ludów, dowiemy się o Poznaniu kobiet czegoś nowego. Pensję pani Warnke, liceum Królowej Jadwigi, Czytelnię dla kobiet i Towarzystwo „Warta” wiąże jeszcze jedna postać: Aleksandra Karola Słomińska, nauczycielka, społeczniczka, zaangażowana całym sercem i przez całe swoje długie życie w ruch emancypacyjny. O Aleksandrze Karoli opowiemy na pewno na kolejnym spacerze. ●